

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (8)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Aleksander Rozenfeld

Jako student miałem zwyczaj chodzenia na pogaduchy do redakcji zielonogórskiego „Nadodrza”; były lata 70., mieszkalem niedaleko, na pl. Słowiańskim 12. Traktowano mnie w redakcji pisma – co podkreślałem wtedy żartem – jako syna pułku. Nieetatowego jeszcze dziennikarza, ale mocno związanego (choćby poprzez te wizyty) z „firmą”. Tu wkładam – na potwierdzenie – świeży kawałek z tekstu właśnie opublikowanego na fejsbuku przez Krzysztofa Rutkowskiego, dziennikarza radiowego, kolegę z czasów studenckiego „Faktora”. Zapamiętał mnie następująco: „A tak w ogóle, co zajdę do redakcji na piętro – Gienek siedzi. Kurzawa znaczy. Też bywał wtedy w »Nadodrze«. Przebywał! Stacjonował, kurde! Kwaterował kątem i kantem dupy na zydelku przy wejściu, przed biurkiem pani sekretarki. Rezydent. Hipowskie, długie włosy, hipowskie sandały, hipowskie myśli, hipia postawa. Coś pisał, coś klecił, jakieś wiersze, artykułiki, informacje, notki. Ważne rzeczy. Zawsze pod parą. Piękne czasy, Eugeniuszu. Opłaciło się jemu i mnie nawdychać tamtej atmosfery”.

Pewnego razu wchodzę zatem do sekretariatu, a na „moim” krzeselku przy biurku Elżbiety Waleńskiej (sekretarki) siedzi brodaty facet i jeśli dobrze pamiętam, pali fajkę. Przywitałem się ogólnym „dzień dobry”, Ela zapewne odrzekła „dzień dobry, redaktorze Kurzawa” (a może wręcz „poeto Kurzawa”), po czym siadłem na innym krzeselku. Gościa coś jednak „męczyło”. Pokręcił się na krześle, pokręcił i w końcu zapytał, czy ja może już gdzieś drukowałem wiersze, bo nazwisko jakby mu się kojarzyło. Noooo...! To była okazja, żeby się przedstawić jako nadzieja polskiej poezji i potwierdzić owe publikacje. Co uczyniłem. – O! – ucieszył się ów facet i zaproponował od ręki – to zorganizuj mi spotkanie autorskie. Tym

sposobem od razu przeszedł ze mną na ty. Tak poznałem Aleksandra Rozenfelda, również poetę i polskiego patriotę. Żyda, łatwo rozpoznawalnego w każdym miejscu na świecie. Charakterystyczna sylwetka rzuca się w oczy. W Zielonej Górze był wtedy przejazdem i wykorzystując okazję, zgłosił się do „Nadodrza”, proponując druk swoich wierszy.

Spotkanie zorganizowałem w akademiku „Tekturowiec”, gdzie byłem kierownikiem klubu studenckiego „Raj – Piekiełko”. Olek przybył na umówione spotkanie zgodnie z czasem. Wcześniej udało mi się zaprosić do klubu doc. Tadeusza Margula, mieszkającego też na pl. Słowiańskim (ale w hotelu asystentkim). Dlaczego o nim wspominam? Zdążyłem się dowiedzieć, że obaj panowie są związani z Lublinem, założyłem, że mogą się znać – co się potwierdziło. Z przebiegu spotkania poetyckiego niewiele pamiętam, tyle że Rozenfeld czytał swoje utwory z grubego zeszytu, ze zgromadzonych wycinków prasowych (wtedy jeszcze nie wydał książki). Ciekawiej stało się, gdy rozpoczęła się dyskusja. Właściwie dialog Margula z Rozenfeldem. Panowie zaczęli się wręcz przerzucać żydowskimi szmoncesami pierwszej jakości i to w znakomitej interpretacji. Nieliczni słuchacze mieli niezwykłą ucztę. Olek nie robił ceregieli z tego, że zamiast o jego poezji, dyskusja zeszała na dowcipy. Miał zawsze poczucie humoru. Choć jak mocne, nie potrafię ocenić, nigdy nie byliśmy w bardzo bliskiej komitywie, nie zjedliśmy beczki soli, raczej – znajomymi z branży literacko-dziennikarskiej.

Kolejny raz spotkaliśmy się we wrześniu 1979 roku we Wrocławiu, na ciekawym wydarzeniu zainicjowanym przez ośrodek teatralny „Kalambur” Bogusława Litwińca. Kilkunastu młodych poetów z całego kraju zostało rozwiezionych po różnych miejscach Wrocławia i pozostawionych gdzieś na krańcach miasta.

Mieli szukać natchnienia w ramach, jak dziś się mówi, projektu pod nazwą „Reportaż liryczny”. Wieczorem wszystkich nas wsadzono do autobusu i zawieziono w góry, do Radkowa; tu przez trzy dni należało ewentualny efekt wrocławskiego natchnienia naskrobać na papierze. W książce z serii „Bibuły młodych twórców”, jakiś czas później, „Kalambur” wydał plon tego przedsięwzięcia, dzieło nosi zaskakujący tytuł... „Reportaż liryczny”. Efektem twórczych skojarzeń Rozenfelda jest wydrukowany tamże „Poemat o mieście Wrocławiu”. Czy o czymś podczas tego spotkania rozmawialiśmy? Zapewne. Utkwiła mi jednak tylko pierwsza kolacja, jeszcze w hotelu „Monopol” (tak kiedyś opiekowano się poetami!), podczas której Rozenfeld prezentował swą prywatną odezwę do poety X, którego w osobistym rankingu przyjął przesuwając z miejsca nr 2 lub 4 na miejsce 37 albo 65. Rozenfeld, choć rocznik 1941, w owym czasie zaliczał się do młodych poetów, przed debiutem. Zresztą po latach, jak podaje Wikipedia, niewiele wydał książek poetyckich. To raczej o nim pisano, gdy stał się znany, wręcz sławny.

Znalazłem zdjęcie z „Reportażu lirycznego”, duża grupa poetów stoi przy autobusie

parkującym przed hotelem „Monopol”. Rozpoznaję Zofię Badurę, Witolda Tegnerowicza, wysokiego Krzysztofa Senajkę, Zbigniewa Fronczka, Zygmunta Korusa, Janusza Leppka, małżeństwo Drasów, Marka Bieńkowskiego, „na prawym skrzydle” w kurteczce – stoi Olek. Lata mijały. W kraju zrobiło się dramatycznie, nastał stan wojenny. W sposób bezsensowny wypchnięto Rozenfelda z Polski do Izraela. Dlaczego? Całą tę epopeję wyjazdu i powrotu opisała znakomicie Hanna Krall (patrz hasło: H. Krall). A jak reporterka tej klasy bierze się za temat, to wiadomo, że musi być niebanalna. No bo gdzie znaleźć drugiego Żyda, który w Izraelu nie chce być „porządnym Żydem” pierwszego sortu, czyli znającym język hebrajski. Olek ponoć twierdził uparcie, że jest Polakiem i hebrajski go nie interesuje. A żyć może dzięki sprzątananiu lotniska w Tel Awiwie. Czy władze Izraela mogły dopuścić do tego, żeby Żyd (a nie Palestyńczyk!) sprzątał lotnisko?! Nie pamiętam już skąd te wieści do mnie dotarły, może to plotki, a może sam Olek opowiadał?... W końcu po kilku latach tułaczki po świecie, Europie, Rozenfeld wrócił do kraju. W drodze powrotnej (przez rok) był gościem papieża Wojtyły, wysmażył też list do gen. Jaruzelskiego. Uznano, że jest nieuleczalnie chory na Polskę. Wrócił.

Mijały kolejne lata. Zatrudniłem się w „wolnościowym” dzienniku „Kurier Poranny” w stolicy Podlasia, drugiej tego rodzaju gazecie utworzonej w Polsce. Pewnego razu słyszę wezwanie naczelnego, Janusza Stankiewicza, że pojawił się gość do mnie. Idę, patrzę: uśmiechnięty, zadowolony z siebie, szczerbaty Olek Rozenfeld. Co tu robisz, pytam. – Pracę magisterską napisano o mnie na tutejszym uniwersytecie. Pogadaliśmy, powspominaliśmy, pojechał. Jeszcze tylko notkę o nim napisałem do „Kuriera”. Zdarzyło się to w 1990 roku. A po jakimś czasie dowiaduję się, iż Aleksander został zatrudniony przez Kancelarię Prezydencką Aleksandra Kwaśniewskiego (pracował tam w latach 1996-2001). Dzwonię do Warszawy. Co tam robisz? Okazało się, iż został prezydenckim doradcą (jeśli się nie mylę) ds. mniejszości narodowych. A politycznie jak się sytuujesz, dociekam, właściwie pół żartem, pół serio. – No oczywiście jestem narodowcem – odrzekł. I faktycznie ostatnie wieści, jakie znalazłem w Internecie, mówią, że Rozenfeld jest związany z prawnicową „Gazetą Polską”. Pogięto go...?

Przez cały okres naszej znajomości Olek to tu, to tam wypływał – zazwyczaj niespodziewanie. Dość często zmieniał nie tylko miejsce pracy, ale i zamieszkania. Nie mówiąc o żonach. To jest historia na film, jak Olek dla terapii rozwiódł się i po raz kolejny ożenił się; miał ponoć takie zalecenie lekarskie. Lecz choroba, z której się leczył, w końcu ustąpiła (albo źle ją zdiagnozowano) i raptem przyszło mu żyć z dwiema rodzinami. To wszystko jest do sprawdzenia, gdyż życiorys Olka został w miarę dokładnie opisany, teksty zaś opublikowane.

cdn.